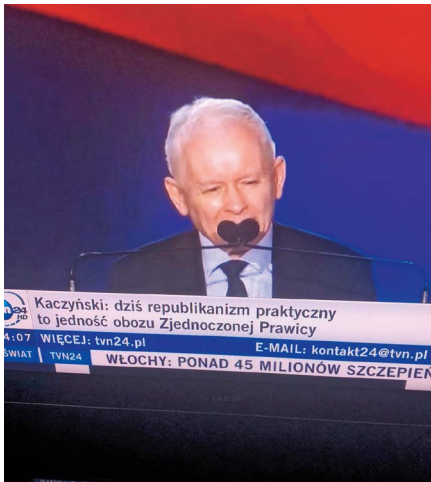


Kaczyński zakłada partię Bielanowi

Warszawskim teatrze Palladium odbył się w niedzielę 20 czerwca zjazd założycielski Partii Republikańskiej. Europosł Adam Bielan jest tymczasowym liderem ugrupowania, a tworzą je głównie byli działacze Porozumienia, którzy w lutym bezskutecznie próbowali obalić Jarosława Gowina. W oczekiwaniu na rozstrzygnięcie kwestii przywództwa w partii przez sąd II instancji postanowili stworzyć własną kieszonkową formację.

Przybyło kilkaset osób, w tym ekspozysta Porozumienia: Kamil Bortniczuk, Michał Cieślak, Włodzimierz Tomaszewski i Jacek Żalek. Do partii wstąpił też były poseł PiS Lech Kołakowski (obecnie niezrzeszony). Podobno z powodów rodzinnych nie przyjechał poseł Porozumienia Mieczysław Baszko, ale mówi, że inicjatywie kibicuje. Gościem specjalnym był Jarosław Kaczyński, któremu oddano stosowne hołdy („postać absolutnie wyjątkowa”, „architekt dobrej zmiany”). Prezes PiS przyznał zaś na początku krótkiego przemówienia, że pomyliły mu się daty i do Palladium przyjechał już tydzień wcześniej.

Partia Republikańska ma załączek programu (jest prawicowa, konserwatywna, chce aktywnej roli państwa w gospodarce, „Europy ojczyzn” itp.), władze, ministra i wiceministrów, ale nawet nie próbuje udawać, że marzy jej się samodzielne bytowanie, walka o wyborców i tym podobne głupstwa, o które zabiegają realnie istniejące ugrupowania.



Partia Republikańska służy głównie wojnie PiS z Gowinem, a jej istnienie ma dowodzić, że Zjednoczona Prawica trwa. Republikanie (dostali już ponoć obietnicę puli miejsc na listach wyborczych) będą częścią wykluwającej się nowej sejmowej większości. Znaną od 2015 r. koalicję PiS-Solidarna Polska-Porozumienie zastąpi układ planktonowy, przetestowany w zwycięskim dla Kaczyńskiego głosowaniu nad rzecznikiem praw obywatelskich. PiS, ziobryści i bielaniści dają 224 głosy, koło Pawła Kukiza to kolejne cztery, a niezrzeszeni Łukasz Mejza i Zbigniew Ajchler (były poseł SLD i PO, wszedł do Sejmu w trakcie kadencji) – kolejne dwa. PiS jest przekonany, że w razie rozpadu sojuszu z Gowinem do obozu władzy dołączy jeszcze paru posłów.

Kaczyński osiągnąłby wówczas swój cel – odejście Gowina lub jego wyrzucenie nie pozbawiłoby PiS większości. Czasem pomoże pewnie Lewica (sprawy podatkowe w Polskim Ładzie), czasem posłowie Konfederacji.

Z Porozumienia dobiegły w odpowiedzi gniewne pomruki. – *Gowin nie walczy o pozostanie w obozie władzy, tylko o to, by jego usunięcie było dla PiS maksymalnie kosztowne. I o to, by wina za rozpad Zjednoczonej Prawicy spadła w oczach jej elektoratu na PiS* – twierdzi polityk z otoczenia wicepremiera. W PiS z kolei mówi się, że czas ostatecznej rozprawy z Gowinem przyjdzie jesienią. (WBS)

To nie jest kraj dla matek



Rząd stosuje metodę kija i marchewki, by nakłaniać Polki do macierzyństwa i zatrzymać zapaść demograficzną. A mimo to w ubiegłym roku urodziło się o 20 tys. mniej dzieci niż w rok wcześniej. W zestawieniu krajów według współczynnika dzietności Polska zajmuje jedno z ostatnich miejsc na świecie. Marchewka, czyli transfery finansowe w rodzaju 500+, nie działa. A kij, czyli ograniczanie dostępu do antykoncepcji i brutalne restrykcje dotyczące przerywania ciąży, jest przeciwnie skuteczny.

Według najnowszych badań wykonanych przez firmę SW Research i agencję Garden of Words aż 55 proc. kobiet uważa, że Polska nie jest dobrym krajem, by zakładać rodzinę i realizować się w macierzyństwie. Ważny jest dla nich rozwój zawodowy, dostęp do dobrej pracy i niezależność finansowa. Ten trend widać już od lat. Od lat też w podobnych badaniach wyraźne są powody, dla których Polki powstrzymują się z decyzją o macierzyństwie.

To niepewność ekonomiczna, obawa, że po urodzeniu dziecka będą miały trudności z powrotem do pracy, i brak systemowego wsparcia dla rodziny, m.in. trudności z dostępem do żłobków i przedszkoli. Tylko co dziesiąte dziecko w Polsce ma szansę na miejsce w żłobku. Aż dwie trzecie gmin nie ma w ogóle takich placówek.

W badaniu SW Research jako jeden z takich powodów kobiety (ok. 37 proc.) wskazywały także ograniczenie podstawowych wolności obywatelskich. 30 proc. deklaroowało, że nie decyduje się na dziecko z powodu braku dostępu do legalnej aborcji w przypadku wykrycia ciężkich wad płodu. Widoczny zaczyna być jeszcze jeden czynnik, zwłaszcza u najmłodszego pokolenia Polek świadomych wpływu działań człowieka na środowisko: nie chcą, by ich dzieci cierpiały z powodu zmian klimatycznych. Już blisko 10 proc. wskazuje to jako przyczynę rezygnacji z macierzyństwa.

– *Kobiety stają się coraz bardziej autonomiczne. Chcą żyć w kraju nowoczesnej demokracji i równych szans. Społeczeństwo się zmienia, ponieważ zmieniają się Polki* – mówi Katarzyna Pawlikowska, badaczka społecznych zachowań kobiet. – *Ten proces bardzo przyspiesza także z powodu niezrozumienia jego źródeł oraz anachroniczności, wręcz wsteczności, obecnej władzy i Kościoła.*

Wystarczy przywołać wypowiedź ministra Przemysława Czarńka, który stwierdził: „Jak się pierwsze dziecko rodzi w wieku 30 lat, to ile tych dzieci można urodzić? To są konsekwencje tłumaczenia kobiecie, że nie musi robić tego, do czego została powołana przez Pana Boga. Zwierzęta to wiedzą, dzięki to wiedzy, a my nie wiemy”. Tym językiem młodym kobietom raczej nie da się już niczego wytłumaczyć. Niewielka jest też szansa, że przekonają je sugestie abp. Marka Jędraszewskiego, że powinny rodzić dla Polski i Kościoła. Strajku Kobiet nie widać już na ulicach, ale w rzeczywistości strajk kobiet, reprodukcyjny strajk kobiet, trwa i się nasila. (J. POD.)



Zniewolony

Jarosław Kuźniar

Dziennikarz, podróżnik, twórca cyfrowy

U podnóża gruzińskiego Kazbeku wymęczeni trekkingiem ludzie siadają do wieczornej *supry*. Miasto jest opustoszałe, moźlnie podnosi się z pandemicznego kryzysu, ale *tamada* ma zawsze tę samą rolę. Jest najważniejszą postacią przy stole i to on wznosi toasty, które potrafią trwać kilka długich minut. Wyobrażam sobie takie życie, zanim usłyszymy dźwięk szklanek z okrzykiem *gaumarjos!*

„Wypijmy za ludzi, którzy zbłądzili. Okazali się nieprzygotowani, zlekceważyli aklimatyzację, w rzeczywistości nigdy nie mieli szansy na szczyt. Owszem, był moment, kiedy umieli oczarować tysiące ufnych osób, obiecywali, że powalczą z ich krzywdą i wstydem, używali języka, który dawał nadzieję na zmianę. Dziś stoją jednak nadzy, szarzy, pokorni wobec władzy, przetrąceni przez system, wykorzystani i przegrani. Za zdrowie Pawła Kukiza!”

Konferencje prezesa Kaczyńskiego z jego ofiarami mają zawsze ten sam scenariusz. On niewzruszony i pewny siebie, oni przestraszeni, czekający na jego pauzę, żeby móc wydusić choć pisk własnego zdania. To Ziobro kiedyś, a teraz Paweł Kukiz, który ostatnio uratował prezesowi kilka miejsc w Sejmie i zrzucił maskę antysystemowca. Dogadał się z władzą, oddał swoje poparcie w zamian za mgliste obietnice zmian, o które ponoć walczył. Były rockmen, chwalony za bezkompromisowość, dał się połączyć naczelnikowi państwa i zakończył niezależną aktywność polityczną. W sumie smutna śmierć.

Swego czasu Kukiz zachęcał swoich fanów tak: „Jak zostanę politykiem, to naplujcie mi w ryj i mówcie do mnie szmato”. Czy to już ten moment? – pytają dziś także jego byli słuchacze i koledzy

z muzycznej sceny. Są tacy, którzy współczują mu pogubienia i przetrąconego kręgosłupa. Bywa, że przepraszają za swoją naiwność, jak Kuba Wojewódzki, który swego czasu namawiał do głosowania na Kukiza. „Chciałbym wszystkich bardzo serdecznie przeprosić za Pawła Kukiza. Za mój wybór Pawła Kukiza. Kłamałbym, gdybym powiedział, że patrzyłem na niego jak na męża stanu. Patrzyłem na niego jak na człowieka, którego stan umysłu jest chyba jaśniejszy, niż przewidywałem. Sorry”.

A było tak pięknie. Wybory prezydenckie 2015 r., Kukiz idzie do nich z hasłem: „Potrafisz, Polsko!”, zdobywa trzecie miejsce. Zbiera ponad 3 mln głosów, kupuje swoimi hasłami 20 proc. ludzi. Potem kolejny sukces: Kukiz’15 wchodzi do Sejmu jako trzecia siła z prawie 9-proc. poparciem. Jest na czym budować, ale to się Kukizowi nie udało. „Szczere przepraszam za wprowadzenie narodowców do Sejmu” – pisze do swoich fanów. „Przed wyborami wiele środowisk domagało się sojuszu wszystkich sił antysystemowych – JOW-owców, wolnościowców, narodowców. Niestety, »narodowcy« w obecnym kształcie okazują się niebezpieczniejsi dla Polski niż system”.

Im więcej czytałem o Kukizie, tym bardziej zaczynałem mu współczuć. „W Jarocinie czułem się wolny. Bez względu na kontekst historyczny czy jakiegokolwiek inny. Gdyby nie Jarocin, być może byłbym jednostką sformatowaną, uległą, niemyślącą samodzielnie”. To też jego słowa. Dziś okazuje się, że mimo Jarocina Kukiz daje się zniewolić prezesowi Kaczyńskiemu i patrząc prosto w kamery, powtarza, że to dla dobra Polaków.

I tu moje współczucie się kończy. Lubię, kiedy politycy nie obrażają mojej i wyborców inteligencji, potrafią nazwać rzeczy po imieniu i znaleźć argumenty, które pozwolą mi zrozumieć ich decyzję. Nawet kiedy kompletnie się z nimi nie zgadzam. A Kukiz szczerze przecież potrafi: „Mnie raz włamał się w piątek Johnny Walker na Twittera, to był jedyny włamywacz, jakiego miałem, ale już się staram z nim nie spotykać”. Tak trzymaj.

Znowu z rzecznikiem nie wyszło

Po raz trzeci Senat odrzucił kandydata na rzecznika praw obywatelskich wskazanego przez PiS i wybranego przez Sejm. Znosi się na zawieszenie działania urzędu RPO.

Tym razem Senat odrzucił **Lidię Staroń**, senatorkę niezależną, od 2005 do 2015 r. polityczkę PO. Głosowanie odbyło się w ekspresowym trybie: dwa dni po głosowaniu w Sejmie. Staroń poparli tylko senatorowie PiS – i to nie wszyscy: dwoje wstrzymało się od głosu, a jedna senatorka nie głosowała.

Podczas dyskusji w Senacie senatorowie opozycji wytknęli Staroń, że w głosowaniach dotyczących praworządności stała po stronie łamiącej ją władzy: w sprawie podporządkowania prokuratury rządowi, sędziowskiej ustawy „kagańcowej”, ustawy inwigilacyjnej, ustaw niszczących



niezależność sądownictwa i Sądu Najwyższego.

Teraz opozycja ma nadzieję, że marszałek Sejmu szybko ogłosi nabór na kolejnych kandydatów. Być może znów zostanie zgłoszona kandydatura prof. Marcina Wiacka. Ale znosi się na to, że urząd RPO nie będzie obsadzony, bo Adam Bodnar musi ustąpić 15 lipca – wtedy wchodzi w życie wyrok Trybunału Julii Przyłębskiej likwidujący przepis, który przewiduje, że RPO pełni obowiązki do czasu powołania nowego.

Dopiero dzień przed głosowaniem w Senacie nad kandydaturą Lidii Staroń Trybunał upublicznił i przekazał RPO uzasadnienie tego wyroku – ponad dwa miesiące od jego wydania. Można podejrzewać, że zwłoka ma dać rządowi alibi dla braku prac nad przepisami regulującymi, co z urzędem RPO po zakończeniu kadencji dotychczasowego i niewybraniu następcy. Opublikowane uzasadnienie wskazuje następującą drogę: „stary” RPO mógłby

pełnić obowiązki, ale nie wszystkie, tylko te wybrane przez ustawodawcę. A więc można by mu np. powierzyć tylko prawo do kontynuowania rozpoczętych przed upływem kadencji spraw. Albo nie dać mu prawa do wszczynania nowych postępowań sądowych – czym uprzykrza życie władzy.

Przez dwumiesięczne opóźnienie publikacji uzasadnienia Trybunał spowodował, że Adam Bodnar opuści urząd, zanim władza uchwali nowe przepisy. Rządzący będą więc mogli np. wprowadzić do Biura RPO „komisarza”, powierzając mu okrojone obowiązki, zamiast w te okrojone kompetencje wyposażyć Adama Bodnara. Oczywiście mogą je też powierzyć wieloletniemu zastępcy RPO Stanisławowi Trociukowi, ale to byłby już gest dobrej woli.

Wygląda więc, że przynajmniej przez wakacje urząd RPO będzie pozbawiony możliwości działania. Będzie to dotyczyło m.in. spraw sądowych wszczętych przez RPO – np. zawieszę przed Naczelny Sąd Administracyjny sprawy odwołania premiera od wyroku Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego stwierdzającego, że w sprawie wyborów „kopertowych” rażąco naruszył prawo, działając bez podstawy prawnej. (ES)

Powrót Tuska: jest plan



Doniesienia o powrocie Donalda Tuska do polskiej polityki i planie objęcia na nowo fotela przewodniczącego Platformy Obywatelskiej nie tylko zelektryzowały opinię publiczną, ale też nadały nową dynamikę polityczną. PiS – zapobiegawczo – przestroił swoją propagandową maszynę i gdzie tylko może, atakuje Tuska. Ale prawicy z nie mniejszym zapałem wtóruje Lewica, która także próbuje straszyć Tuskiem albo przekonywać, że nikt już na niego nie czeka.

Ale najciekawiej jest w samej Platformie. Wszystko jest teraz w rękach Borysa Budki, zarazem sam przewodniczący znalazł się pod ścianą. Choć jego pozycja jest statutowo dość solidnie zabezpieczona i „to od jego podpisu zależy powodzenie całej operacji”, sam – jak słyszymy w PO – nie jest na tyle silny, aby zatrzymać napór, który najpewniej się wytworzy, kiedy działacze usłyszą od Tuska, że chce wrócić. Morale platformersów od dłuższego czasu jest niskie, podobnie – partyjne sondaże (rządu kilkunastu punktów procentowych); do tego Szymon Hołownia podbiera Platformie ludzi, wewnętrzne konflikty są widoczne gołym okiem, a kolejne badania opinii publicznej pokazują, że Budka nie jest traktowany ani jako lider opozycji, ani potencjalny premier (1 proc. w niedawnym sondażu Kantar dla POLITYKI). Wielu czeka na przełom.

– Donald wraca, jest zdeterminowany – twierdzi ważny polityk PO, który rozmawiał w ostatnim czasie z Tuskiem i chce go wesprzeć w odbudowie partii. Dwa inne źródła z tego kręgu również to potwierdzają. Jeden z naszych rozmówców zastrzega: – Donald wróci na własnych warunkach. W grę jednak wchodzi tylko szefostwo partii. Inny z członków władz partii: – Tusk szuka politycznego momentu. I współpracowników.

Trzaskowski spotkał się z Budką w Milanówku. Rozmawiali o Tusku.



Oficjalnego komunikatu wciąż nie ma, ale Tusk spotyka się z partyjną wierzchością, może też liczyć na kilku „ważących” polityków, którzy wraz z nim chcą odbudować pozycję Platformy. Z naszych informacji wynika, że pomoc zadeklarowali m.in. Radosław Sikorski i Bartosz Arłukowicz.

Na środę 23 czerwca planowany jest zarząd krajowy PO, na którym – według naszych źródeł – partyjni baronowie mają usłyszeć, że Tusk chce wrócić na fotel przewodniczącego (do momentu zamknięcia tego numeru daty zarządu nie przesunięto). Ale pojawiające się w mediach informacje o powrocie byłego przewodniczącego do polskiej polityki wywołały w partii silne ruchy odśrodkowe, w tym i takie, których celem jest „przyblokowanie Tuska”. Zmobilizowały nie tylko działacze, którzy przy Budce zaczęli piąć się w partyjnej strukturze, ale przede wszystkim Rafała Trzaskowskiego, który szykuje własną polityczną inicjatywę i któremu wejście do gry Donalda Tuska może skomplikować plany.

– Rafał spotkał się w ostatnią sobotę z Borysem w Milanówku. On i jego otoczenie namawiają go, aby się postawił Tusкови, i obiecują mu wsparcie – mówi poseł KO. – Ale Rafał buduje własny projekt obok PO, nie zależy mu na wzmacnianiu partii.

Trzaskowski od kilku tygodni przygotowuje polityczny event dla młodych (Campus Polska), który ma niejako raz jeszcze „inaugurować” jego ruch (start: 27 sierpnia w Olsztynie). Przez ostatnie miesiące – od formalnej prezentacji Wspólnej Polski w październiku ubiegłego roku – niewiele się w tym temacie działo. Tymczasem w ostatnich dniach prezydent Warszawy ruszył z impetem: trzy dni po spotkaniu Tusk–Budka ogłosił budowę stowarzyszenia samorządowców i rejestrację związku zawodowego Nowa Solidarność; w kolejnych dniach pojawił się na Paradzie Równości i zbierał podpisy pod ustawą likwidującą TVP Info.

U boku Trzaskowskiego stoją nie tylko zaufani partyjni działacze, ale i znani samorządowcy – w tym ci skonfliktowani z baronami PO w swoich regionach (tak jest choćby w przypadku prezydentów Poznania, Białegostoku i Opola). Inicjatywa Trzaskowskiego przez sporą grupę działaczy PO traktowana jest jako konkurencja – wielu też zwyczajnie nie widzi w niej dla siebie miejsca, czy to ze względu na wiek, czy też konserwatywne poglądy.

Wtej chwili piłka jest po stronie Borysa Budki. Z naszych informacji wynika, że Budka miał początkowo przystać na scenariusz Tuska. To plan, który pozwala mu wyjść z twarzą – nie zostałby wyrugowany z władz partii; zostałby jej wiceszefem i/lub wrócił na stanowisko szefa klubu KO. Z formalnego punktu widzenia powrót Tuska możliwy jest poprzez jego wejście do zarządu, zostanie wiceszefem partii (ktoś musiałby ustąpić mu miejsca, ponieważ statut przewiduje „do 4 wiceprzewodniczących”), a następnie – p.o. przewodniczącego do czasu wewnątrzpartyjnych wyborów. (Inne opcje to np. zmiana statutu albo ogłoszenie wyborów).

– To nie jest pytanie: czy Donald wróci, tylko jak gładko przeprowadzić tę operację – mówi jedna z posłanek PO. Politycy z otoczenia byłego premiera podkreślają zaś, że Tusk nie chce wywołać swoim powrotem wewnętrzpartyjnego konfliktu.

Jak mówią nasi rozmówcy, zapowiada się gorący tydzień i gorące polityczne lato. 3 lipca ma się odbyć kongres PiS, ale na ten dzień planowana jest również rada krajowa PO. – Gdyby pojawił się na niej Donald, przykryłby czapkę Kaczyńskiego – mówi członek zarządu Platformy. W PO mają świadomość, że PiS rusza z akcją promującą Polski Ład i że wakacyjny bezruch może być dla PO zabójczy. Powrót Tuska byłby ożywczy dla całej opozycji. Ale w tym planie kluczowe są dwa czynniki: postawa Budki i determinacja Tuska.

MALWINA DZIEDZIC

Peru ma Castillo...

Włos w Peru to 44 tys. i ciut. O tyle głosów **Pedro Castillo** wygrał wybory prezydenckie. Rywalka, Keiko Fujimori, próbowała – wzorem Donalda Trumpa – podważyć wynik, twierdząc, że w odległych wsiach doszło do oszustw, ale na minach i krzykach się skończyło. Ostateczny werdykt należy do trybunału wyborczego. Mało prawdopodobne, by uznał protesty przegrane.

Zwycięstwo Castillo to triumf lewicy przez dziesięciolecie niezdolnej do zdobycia władzy. Zwycięzca ma przed sobą nie lada wyzwanie. Bo prócz zarządzania państwem, w czym nie ma doświadczenia, musi uspokajać przeciwników wewnętrznych, jak i rynki finansowe oraz zagranicznych inwestorów. Stowarzyszenie byłych wojskowych wzywa armię do zamachu stanu przeciwko „komuniście”. Mario Vargas Llosa, słynny pisarz noblista, przestrzega, że w ciągu kilku lat pod nowymi rządami Peru stanie się drugą Wenezuelą. Castillo, istotnie, ma na koncie wypowiedzi sympatyzujące z rewolucją boliwariąską nieżyjącego już Hugo Cháveza.

Doradca ekonomiczny prezydenta in spe uspokaja jednak inwestorów i rynki finansowe.



51-letni Castillo jest człowiekiem ze społecznych nizin – za to geograficznie z wysoka: pochodzi z Andów. Droga do szkoły zajmowała mu dwie godziny w jedną stronę. Nie miał wiele czasu na naukę, bo musiał też pracować w polu, nosić wodę i drewno na opał, gotować. Zdołał jednak zaoszczędzić na studia i ukończył pedagogikę i psychologię nauczania na uniwersytecie w Trujillo. Został nauczycielem, ostatnio także liderem związku nauczycieli, który prowadził strajk płacowy.

Castillo zdobył poparcie, obiecując reformy systemu edukacji, służby zdrowia, emerytur, jak i pilnowanie interesów kraju wobec międzynarodowych firm eksploatujących surowce kopalne (m.in. ropy, srebro, cynę, miedź). Obiecywał działania na rzecz ochrony środowiska naturalnego i lokalnych społeczności dotkniętych zanieczyszczeniem przyrody i przymusowymi eksmisjami. Części wyborców progresywnych naraził się jednak wstecznym podejściem do aborcji i praw osób LGBT. Jest katolikiem, a jego żona Lilia Paredes ewangeliczką – z zawodu też nauczycielką. Mają trójkę dzieci, które wychowywane są w konfesji matki. Prócz pracy w szkole Castillo i Paredes zajmowali się uprawą słodkich ziemniaków i kukurydzy; posiadają krowy i świnie. Co teraz stanie się z ich gospodarstwem – lokalne źródła milczą.

...a Iran Raisiego

W irańskich wyborach prezydenckich zwyciężył faworyt konserwatywnego obozu **Ebrahim Raisi**. Ten bliski współpracownik Najwyższego Przywódcy Alego Chameneiego zdobył

ponad 62 proc. głosów. Dopiero na trzecim miejscu znalazł się przedstawiciel obozu reformatorów Abdolnaser Hemmati (8 proc.). O trumfie Raisiego zadecydowała najniższa od rewolucji frekwencja – 48 proc. W domach zostali głównie zwolennicy zmian po tym, jak liczący się liderzy tego obozu nie zostali dopuszczeni do wyborów.

60-letni Raisi pod koniec lat 80. zyskał przydomek „Rzeźnika Teheranu” – był wówczas członkiem komisji, która bez podstaw prawnych skazała na śmierć kilka tysięcy opozycjonistów. Potem trafił pod skrzydła Chameneiego, który promował go na kolejne stanowiska w wymiarze sprawiedliwości. Wielu ekspertów jest zdania, że 82-letni Chamenei szykuje sobie Raisiego na następcę.



Paradoksalnie jego zwycięstwo może przyspieszyć powrót Iranu do międzynarodowej umowy nuklearnej JCPOA. Przewiduje ona, że Iran ograniczy program nuklearny w zamian za zniesienie międzynarodowych sankcji. Trzy lata temu od umowy odstąpiła Ameryka Trumpa – Iran, który utracił w ten sposób większość korzyści, też stopniowo się z niej wycofał. Ale od ponad miesiąca, za sprawą prezydenta Bidena, strony znów rozmawiają. Po stronie irańskiej negocjują wciąż przedstawiciele umiarkowanego prezydenta Rouhaniego, którym zależy na porozumieniu przed inauguracją Raisiego (8 sierpnia). To może być również dobre rozwiązanie dla twardogłowych, którzy skorzystają z korzyści ekonomicznych, jakie przyniesie przywrócenie umowy, ale nie splamią się rozmowami z Zachodem.

Telegram obosieczny

Rządy mają powody, by nie przepadać za Telegramem. Ostatnio dał się we znaki politykom ekipy rządzącej w Polsce, których domniemane maile publikowane są właśnie za pośrednictwem tego rosyjskiego komunikatora. Wcześniej sparzył się na nim m.in. Emmanuel Macron. Prezydent Francji wybrał Telegram do prób ukrywania przed własnymi służbami specjalnymi korespondencji ze swoim byłym ochroniarzem. Właśnie obietnica zachowania tajemnicy i deklaracja o braku intensywnej cenzury przyciągnęły do serwisu już ponad pół miliarda użytkowników.

Gwarantem jest współtwórca i właściciel, trzydziestokilkuletni Paweł Durow, owiany aurą tajemniczości biznesmen-dysydent z Petersburga. W Rosji ludzie Kremla przejęli jego lukratywne interesy, przede wszystkim serwis VKontakte. Durow nie poszedł na współpracę z reżimem Putina, opuścił ojczyznę i przyjął obywatelstwo karaibskiego państewka Saint Kitts i Navis. Serwis utrzymuje z własnych funduszy,



serwery rozsiały ponoć po świecie, więc teoretycznie mają nie mieć nad nimi kontroli żadne rządy, wywiady czy wielkie korporacje.

Telegram łączy cechy Facebooka i Twittera, pozwala kontaktować się z innymi użytkownikami i publikować dowolne treści. Z tych powodów jest podstawowym narzędziem rewolucjonistów i manifestantów walczących z autorytarnymi władzami. Posługują się nim dysydenci w Iranie i w Rosji, nadadł dynamikę protestom na Ukrainie, w Hongkongu i na Białorusi. Skoro serwis nadaje się do walki o wolność, można zaprząć go do podkopywania porządku demokratycznego przez tych, którzy przepędzili inne komunikatory internetowe, ulegające apelom o cenzurowanie treści ewidentnie sprzecznych z prawem lub godzących w ludzką godność. Telegram nie moderuje jakoś szczególnie wnikliwie, nie odpowiada też na wnioski o wydanie danych użytkowników, więc tą drogą Państwo Islamskie koordynowało ataki, w tym te przeprowadzane w Europie, a np. w USA używają go coraz chętniej fani byłego prezydenta Donalda Trumpa, członkowie skrajnych, zwłaszcza prawicowych, ugrupowań i zwolennicy teorii spiskowych.

Igrzyska pod przymusem

To chyba będzie najmniej popularna olimpiada w dziejach: w najświeższym sondażu gazety „Asahi Shimbun” 81 proc. Japończyków jest za odwołaniem lub kolejnym przełożeniem igrzysk. Im bliżej do znicza, który ma zapłonąć 23 lipca, tym bardziej niezadowolone rośnie, a wzmacnia je także poczucie, że klamka chyba już zapadła. Złe są także nastroje społeczne związane z covidem, mimo że relatywnie oszczędził Japonię (zarażonych zostało w sumie 800 tys. osób, zmarło 15 tys.). Panuje jednak powszechna opinia, że służba zdrowia poradziła sobie marnie, a jeszcze gorzej jest teraz ze szczepieniami: ruszyły późno i tylko 6 proc. Japończyków ma za sobą dwie dawki. Stąd obawy, że 105 tys. sportowców i oficjeli zburzy tę kruchą równowagę. W mediach społecznościowych huczy od spekulacji, że pojawi się groźna mutacja wirusa „wariant olimpijski”.

O skali napięcia świadczy fakt, że apel o odwołanie imprezy znanego adwokata Kenji Utsunomii podpisało pół miliona osób, wycofało się 10 tys. wolontariuszy i szereg miast, które miały gościć sportowców. To zresztą i tak, w nowym reżimie higienicznym, nie wchodziłoby w grę: od przyłotu każdy z gości trafi do swojej bańki i ma ją jak najrzadziej opuszczać. Tokijska olimpiada



ma mieć formułę „przy drzwiach przymkniętych”: żadnych kibiców zagranicznych oraz stref kibica z telebimami, i tylko 10 tys. krajowych. Każdy krok uczestników będzie rejestrowany za pomocą GPS (prewencyjnie – zastrzegają organizatorzy).

Wzburzenie społeczne wywołał też fakt, że według umowy Tokio nie może dobrowolnie odwołać imprezy, a jedynie MKOl, którego budżet w 70 proc. pochodzi z praw do transmisji, a w 18 proc. od sponsorów. Dlatego arogancko odmawia wszelkiej dyskusji – argumentują przeciwnicy. Z kolei Tokio wyłożyło już na przygotowania 12,6 mld dol., a po podliczeniu wszystkich kosztów może nawet 20 mld. Te nakłady, w założeniach, miały się zwrócić w postaci *soft power*, Japonia miała zademonstrować światu, że skończył się okres smuty po tragedii Fukusimy, a kraj energicznie stawia czoła Chinom. A wyszło z tego potężne przebudzenie społeczne i emocjonalna debata publiczna. To też jest coś.

Pomożecie z Chinami?

Celem pierwszej europejskiej wizyty prezydenta Joe Bidena było zaznaczenie nowego miejsca Waszyngtonu w trójkącie USA-Chiny-Rosja. I przyciągnięcie Europy oraz Rosji do swojego narożnika. Na szczycie G7 w Kornwalii miało być głównie o Chinach, przede wszystkim o inicjatywie Bring Back Better World (B3W), która powstaje jako ekonomiczna odpowiedź Zachodu na chiński program Pasa i Szlaku, za pomocą którego Pekin finansuje projekty infrastrukturalne w krajach globalnego Południa, budując tam wpływy. Ale w relacjach z Kornwalii media pisały głównie o ostrych słowach, jakie miał usłyszeć gospodarz premier Boris Johnson od Bidena w sprawie Irlandii Płn. Amerykanin (irlandzkiego pochodzenia) pogroził Brytyjczykowi, aby ten w ramach sporu z Unią nie ryzykował powrotu do wojny domowej na Zielonej Wyspie.

Późniejszy szczyt NATO również zdominowały Chiny. Europejscy członkowie Sojuszu przyznali, że militarnie Pekin działa już w sąsiedztwie Starego Kontynentu, i zapewnili Waszyngton, że wspomogą go w morskich misjach na Dalekim Wschodzie.

Wodpowiedzi na ofertę antychińskiego sojuszu Europa jest tradycyjnie podzielona. Jej zachodnia część, włączając w to Niemcy, wciąż z dystansem podchodzi do strategii Bidena. Nie tylko Berlin widzi w niej zagrożenie dla dobrych relacji handlowych z Pekinem. I choć Biden posłodził te rozterki, zgadzając się *de facto* na dokończenie gazociągu Nord Stream 2, i zakończył wieloletni spór celny w prawie Boeinga i Airbusa, to Berlin i Paryż, choć wysłuchały z życzliwością Amerykanina, nie wydają się przekonane. Z kolei większości państw Europy Wschodniej Biden nie musiał przekonywać do sceptycyzmu wobec Chin, co widać m.in. po spadku zaznaczenia regionalnego formatu „17+Chiny”.

Clou europejskiej wizyty prezydenta USA okazało się jednak spotkanie z Władimirem Putinem. Po kilku miesiącach ambasadorowie obu państw wrócą na swoje placówki, rozmowy o rozbrojeniu nuklearnym będą kontynuowane, pojawia się temat Syrii, Iranu i Afganistanu. W oficjalnych relacjach zabrakło tylko najważniejszego tematu: Chin, o czym niewątpliwie panowie rozmawiali.

Jak powiedział nam jeden z europejskich dyplomatów, „Biden pokazał nam, że z Putinem trzeba rozmawiać. A na odwrotne zapytał rozczarowanych nieco Europejczyków: »Jesteście super. Ale pomożecie nam z Chinami?«”. I odleciał.

Do historii dezertera Jürgena Coninsa, którą żyła cała Belgia – piszemy o niej na s. 60 – już po zamknięciu kolumn został dopisany epilog: po miesiącu poszukiwań znaleziono jego ciało, prawdopodobnie popełnił samobójstwo.

Maile prawdy

Toczy się i nabiera ciężaru afera mailowa, którą władza chce przykryć łatką rosyjskiej napaści. Ale to urzędnicy PiS niekompetencją i lekceważeniem reguł mogli zaatakować sami siebie i całe państwo.



ILUSTRACJA MARTA FREJ

Rosja ma gotowy plan inwazji na Polskę, a wyciek maili to jej pierwszy etap – tak na tajnym posiedzeniu Sejmu straszyć miał wicepremier od bezpieczeństwa, prezes PiS Jarosław Kaczyński. Dwa dni później podgrzał atmosferę oświadczeniem: „Analiza naszych służb oraz służb specjalnych naszych sojuszników pozwala na jednoznaczne stwierdzenie, że atak cybernetyczny został przeprowadzony z terytorium Federacji Rosyjskiej”. Ofiarami paść mieli „najważniejsi polscy urzędnicy, ministrowie, posłowie różnych opcji”. Niby przypisał autorstwo Rosjanom, ale Kremla wprost nie oskarżył. Słowem nie wspominał, by publikowane od kilku tygodni na rosyjskim komunikatorze materiały były sfałszowane, choć wcześniej rzecznik rządu uprzedzał, że to wszystko rosyjski atak dezinformacyjny. Na moskiewską inspirację wskazał Mateusz Morawiecki, mówił, że to nowe oblicze wojny.

Skoro zostaliśmy zaatakowani i potwierdzają to też „służby naszych sojuszników”, to mamy prawo zaangażować NATO i Unię Europejską. I angażujemy. Rząd już przekazał Brukseli swoją ocenę wydarzeń i dodał cyberatak do agendy unijnych ministrów spraw zagranicznych. Stały przedstawiciel przy NATO wniosie sprawę pod obrady Rady Północnoatlantyckiej. W materiałach z Polski zawarto wniosek, że sposób działania hakerów wskazuje na ich powiązania z rosyjskim GRU. Teoretycznie miałyby chodzić o grupę określaną jako Fancy Bear, mającą na koncie niezliczone próby i udane ataki na media, rządy, firmy, instytucje międzynarodowe, w tym NATO.

Sojusz dwa lata temu ogłosił, że poważny cyberatak na kraj członkowski może uruchamiać mechanizm kolektywnej obrony, a na pewno daje powód do konsultacji. Jednak wycieki maili w Czechach, Francji, Wielkiej Brytanii, Niemczech – trudno wszystkie wyliczyć, bo praktycznie wszędzie się zdarzały – nie trafiały na forum NATO. Łącznie z najśłynniejszym przypadkiem w Stanach Zjednoczonych, gdy kandydatka Demokratów w wyborach z 2016 r., a wcześniej sekretarz stanu Hillary Clinton niefrasobliwie podeszła do bezpieczeństwa służbowej korespondencji. Polska prawica szydziła wtedy z niekompetencji liberałów. Dziś wiemy, że ataki na prywatny serwer Clinton i maile Partii Demokratycznej były częścią kampanii ludzi Putina i grup hakerskich wywiadu wojskowego Rosji. Teraz Polska, przywołując te

przykłady, stara się wykazać, że wyciek rządowych maili to też akt cyberterroru.

O rosyjskich atakach w cyberprzestrzeni znowu jest głośno. Najnowsze wycelowane są w infrastrukturę energetyczną, paliwową czy zaopatrzenia w wodę. Kilka takich przypadków w ostatnich miesiącach postawiło na nogi amerykańskie służby. Sprawa jest tak poważna, że na ubiegłotygodniowym szczycie Biden–Putin w Genewie amerykański prezydent poprosił rosyjskiego rozmówcę o moratorium na hakerskie wyłudzenia okupu za odblokowanie dostępu do przejętych sieci o kluczowym znaczeniu. Biden przedstawił listę wrażliwej infrastruktury, która ma być pod ochroną – bo jak nie, to Ameryka odpowie. Putin odrzucił związek z hakerami, twierdził, że większość ataków pochodzi z terytorium USA.

Wyciek maili polskich urzędników to nie to samo co blokada rurociągu w Stanach, ale postawienie go na forum międzynarodowym ma uwiarygodnić wersję rosyjskiego spisku i odwrócić uwagę od genezy tej wpadki: zaniedbania zasad bezpieczeństwa w internecie.

Rosyjski trop potwierdzać ma miejsce publikacji materiałów – na komunikatorze Telegram, założonym przez internetowego magnata, później renegata, Pawła Durowa. Platforma ta miała pozytywny piar jako forum opozycji w Rosji i na Białorusi. Na Telegramie skrzykują się zwolennicy Nawalnego i przeciwnicy Łukaszenki. Jednak przeszłość i dzień dzisiejszy założyciela i samej firmy są niejasne, a niezależność od Kremla niepewna. W niedawnej publikacji niemiecki „Der Spiegel” określa Telegram jako najbardziej niebezpieczne narzędzie komunikacji na świecie, będące poza kontrolą, bez zasad, pełne dezinformacji, fake newsów, treści służących przestępcom. Taka recenzja doskonale wspiera rządową linię obrony. Ale konto na Telegramie może założyć każdy, a wskazanie Rosji jako miejsca, z którego dokonano ataku, nie musi oznaczać, że stoją za nim Rosjanie. W cyberprzestępczości powszechne jest ukrywanie rzeczywistej lokalizacji. Miliony internautów oglądało dzięki temu filmy niedostępne z powodu ograniczeń terytorialnych.

Pompowany przez władzę balon zagrożenia może więc szybko sflaczać. Po wydaniu przez Kaczyńskiego groźnego oświadczenia dziennikarz „Gazety Wyborczej” Wojciech Czuchnowski podważył rosyjski trop. Powołując się na źródła w ABW, mające wiedzę o prowadzonym przez służbę śledztwie, napisał, że za wyciekiem nie stoją Rosjanie, ale „osoba z otoczenia” ►

Dworczyk do Morawieckiego w sprawie Strajku Kobiet:

„Użycie wojska w aktualnej sytuacji rodzi liczne ryzyka prowokacji, oskarżeń, ogromnych strat wizerunkowych dla rządu i wojska oraz budzi skrajnie negatywne skojarzenia. Obecna sytuacja powinna być zabezpieczana przez siły policyjne oraz wsparcie ze strony formacji straży pożarnej”.

Dworczyk przekazuje Morawieckiemu maila Marka Bućki, jednego z doradców, który donosi:

„Kluzik-Rostkowska jest na tyle głupia, że napisała do mnie, żebym jej napisał tekst na tę konferencję, ha, ha, ha! Widać u siebie już nie mają kogo prosić i muszą pisowskich urzędników. Choć bardziej prawdopodobnie, że nie zadała sobie trudu, żeby sprawdzić. Chciałem jej odpisać, że »je« troskę o Polaków na Białorusi w obecnej sytuacji można zilustrować powiedzeniem »Konia kują, żaba nogę podstawia«”.

► ministra, która w odruchu frustracji publikuje zawartość skrzynki, do której miała legalny dostęp. Tej wersji Dworczyk zaprzecza.

Inna, autorstwa dziennikarzy śledczych portalu tvn24.pl, mówi o ostrzeżeniu, jakie do Polski miało nadejść z Izraela w styczniu, zanim na Telegram zaczęły trafiać jakiegokolwiek materiały. Okazało się, że na rosyjskiej platformie działa nie jedno, ale dwa konta publikujące zawartość „skrzynki Dworczyka”. Jeśli alert od znanych z fachowości izraelskich służb został zlekceważony, to nie kompromitacja, tylko wręcz sabotaż.

Wypowiedzi byłych szefów służb specjalnych, komentujących feralny wyciek, wskazują, że i w tej dziedzinie politycy „wiedzą lepiej” od profesjonalistów lub im nie ufają. W opinii wielu oficerów służb specjalnych ministrowie bardziej boją się rzekomego czytania ich korespondencji przez ABW niż skutków ataku i bardziej cenią wygodę poczty niż jej szczelność. W głowie nie mieści się to, co mówi była minister cyfryzacji Anna Streżyńska, że w administracji państwowej nie ma reguł korzystania z prywatnych maili. Do tej pory nikt z rządu nie podjął się wyjaśnienia opinii publicznej, jakie procedury istnieją, gdzie mogły wystąpić luki i na jakim etapie jest ich łatanie. Jarosław Kaczyński napisał, że do poszkodowanych i potencjalnie narażonych będzie przychodzić policja i instruować o bezpiecznym używaniu maila. Na usta cisną się epitety o państwie z kartonu, dykty i skrzyniek.

Władza sprawia wrażenie, jakby cios od GRU czy hakerów z Rosji był chwałębną blizną w boju z putinowskim reżimem. Michał Dworczyk tłumaczył, że to kara za „wspieranie przemian demokratycznych na terenie byłego ZSRR”. Ale im więcej wycieka ze zhakowanej skrzynki i im więcej dowiadujemy się o używaniu prywatnych maili do rządowej korespondencji, tym większe jest przekonanie, że zagrożenie powstało nie na Kremlu, ale w Alejach Ujazdowskich. Od dostawcy poczty elektronicznej Dworczyka (WP.pl) wiemy, że do jego skrzynki nikt się nie włamał, lecz podał prawidłowy login i hasło. Firma podejrzewa, że mogły zostać wyłudzone albo poznane dlatego, że jedno hasło zabezpieczało wiele kont.

Dziennikarze śledczy tvn24.pl ustalili, że najprawdopodobniej był to phishing – sztuczka, którą zna każdy użytkownik internetu. Sprawca podszywa się pod znaną aplikację, numer w komunikatorze czy adres mailowy i nakłania do zalogowania, które obserwuje. Dla Fancy Bear to bułka z masłem. Ale dostęp do prywatnej skrzynki ministra to jedno, a fakt, że była w niej korespondencja służbowa szefa Kancelarii Premiera to drugie, ważniejsze i nie do obrony. Jeśli premier i wicepremier widzą sytuację jako wojnę, to porucznik Dworczyk nie tyle wpadł w zasadzkę, co postrzelił się

Adam Kuczmierowski, prezes Agencji Rezerw Materiałowych, do Morawieckiego:

„Możemy Niemcom zaoferować pomoc również w środkach ochrony osobistej (...). Możemy z Pawłem napisać Twój list do Pani Kanclerz w duchu wsparcia dla dumnego narodu niemieckiego i polskiej solidarności oraz zaoferować pomoc”.

Na pytanie premiera, skąd pochodzą informacje o brakach w niemieckich szpitalach, Kuczmierowski odpisuje:

„Gmyz dzisiaj o tym mówił z Berlina”.

Morawiecki kwituje:

„))) Poproszę o inne źródło”.



sam i bratobójczym ogniem położył całą kompanię.

Ironią losu jest, że zdarza się to władzy, która ma na ustach czujność wobec Rosji, i ministrowi, który bezpieczeństwo zna najlepiej w KPRM. To wszak były wiceminister obrony, promujący strzelnice dla każdego i organizujący w kancelarii departament nadzoru nad MON. Z czasem wyrósł na ministra od sytuacji kryzysowych: stawał na Wiśle mosty pontonowe, by odprowadzać ścieki po awariach w Warszawie, a w czasie pandemii najpierw uruchamiał szpitale tymczasowe, a potem

akcję szczepień. Zajęty tym wszystkim Dworczyk widocznie nie dał rady zadbać o własnego maila, choć tematów wojskowych bynajmniej nie porzucił.

Na przykład podwładny, „pułkownik broni pancernej”, donosił mu na oficerów Inspektoratu Uzbrojenia zajmujących się systemami obrony powietrznej Wisła i Narew, że stali się lobbystami amerykańskiej technologii. Odsłania to walkę o jeden z najważniejszych zakupów uzbrojenia, wart dziesiątki miliardów złotych. Ten sam emerytowany pułkownik (Krzysztof Gaj, przejęty przez Dworczyka do KPRM ze „sprawdzonej” ekipy Macierewicza) podsyła schematy ukończenia baterii systemu Narew, wielkość dywizjonów i koszty ich utrzymania. Czy po to, by kontrolować dane z MON? Albo czy zbiegiem okoliczności w mailu ministra znajdują się pisma od amerykańskich dostawców uzbrojenia, trzeci rok bezskutecznie negocjujących z MON zapisy umów offsetowych. Jaka w tym rola Dworczyka? A gdy innym razem sam wkracza w rolę promotora eksportu i lobbuje za sprzedażą nigerii – produkowanej w Polsce amunicji do karabinów maszynowych, czy ma na myśli wyłącznie dobro fabryki zbrojeniowej Mesko?

Na drugim biegunie są narzekania bufetowych KPRM na zbyt łakomych funkcjonariuszy SOP, notorycznie przekraczających limity na słodycze. Szef kancelarii dostał też skargę na liczbę batonów energetycznych zamawianych dla premiera. Gdyby

Mateusz Morawiecki w listopadzie zjadł wszystkie 288 sztuk, trzeba by się martwić nie tylko o obieg informacji, ale i zdrowie premiera. To błahostki, wybierane tak, by mieszać rzeczy ważne z nieważnymi, śmieszne z poważnymi. Ujawnianie materiałów ma swoją dramaturgię, obojętnie, czy klawisz „publikuj” wciska polski czy rosyjski palec.

Najwięcej emocji wzbudziła korespondencja o roli wojska

w opanowaniu protestów przeciwko ograniczaniu prawa do aborcji na jesieni 2020 r. Po orzeczeniu upolitycznionego Trybunału Konstytucyjnego władza znalazła się pod presją szalejącej epidemii i masowych demonstracji, które częściowo za cel obrały kościoły. Jarosław Kaczyński w ponurym wystąpieniu wzywał sympatyków PiS do obrony świątyń.

Kuczmierowski do Morawieckiego

o tym, że w Orlenie doszło do awarii i spółka zwróciła się do ARM z prośbą o „wypożyczenie paliwa”.

Jeśli Agencja jej nie pomoże, na południu Polski na stacjach zabraknie paliwa i zrobi się wtedy „awantura społeczna i polityczna (...). Orlen kupuje gazety, a nie ogarnia rafinerii”.



Tego samego dnia Dworczyk wysłał mailem wnioski z rozmo-
wy o „wysłaniu wojska na ulice”.
O ile pomysł ten w państwie pra-
worządnym musi budzić grozę
(nie ogłoszono stanu wyjątko-
wego), o tyle mail Dworczyka
wylicza rozsądne argumenty
przeciwko „zabezpieczeniu”
demonstracji przez WOT czy
żołnierzy regularnej armii.
Wskazuje na użycie żandarmerii
wojskowej, która współpracuje
z policją i zna służbę patrolową.

Wymiana poglądów pokazuje,
że w rządzie czy w PiS istnieje
obóz „siłowników”, chcących
rozprawy z protestującymi
obywatelami metodą dyktatur z Białorusi, Rosji czy Chin.
Namawiający do umiaru Dworczyk to prawie liberał.

**Wymiany maili, co ważne, ukazują alternatywny
obieg informacji na pograniczu rządu i państwowych
instytucji,** umożliwiając szeroki wgląd i ogromny wpływ
na decyzje. Wszyscy zobaczyli, kim są i gdzie są ulokowani
nieformalni doradcy. O Michale Kuczmierowskim dużo sły-
szeliśmy, bo kieruje ważną Rządową Agencją Rezerw Strate-
gicznych. Na co dzień zajęty szczepionkami, załatwiał uży-
czenie Orlenowi paliwa z rządowych zapasów i podsuswał
premierowi depesze korespondenta TVP z Niemiec Cze-
rego Gmyza (zresztą zlekceważone) o rzekomych brakach
respiratorów.

Dziennikarze znają Tomasza Filla, rzecznika i marke-
tingowca kilku dużych firm, obecnie wiceprezesa PFR. Ale
mało kto słyszał o Mariuszu Chłopiku, formalnie dyrekto-
rze ds. marketingu sportowego w PKO BP, prowadzącym
ponoć konta premiera (!) w mediach społecznościowych,
czy Tomaszowi Matyni, zięciu wojewody Konstantego Ra-
dziwiłła, szefie Centrum Informacyjnego Rządu. Wszyscy
są regularnymi adresatami maili Dworczyka, konsultują
zamiary i kreują pomysły. Czasem dołącza politolog, szef
Centrum Analiz Strategicznych Norbert Maliszewski, szef
Rządowego Centrum Legislacji Krzysztof Szczu-
cki, minister

Premier Mateusz Morawiecki

o obostrzeniach:

„Żadnych wyjątków dla sportowców. Hotele – całe
– żadnych wyjątków dla podróży służbowych.
Handel w galeriach – closed”.

Norbert Maliszewski, szef Centrum

Analiz Strategicznych, do premiera:

„rząd idzie w ten sposób wbrew nastrojom
społecznym”. „A jakbyśmy zrobili to, co proponujesz,
i nazwali bezpiecznikiem, a nazwę narodowej
kwarantanny zostawili sobie, jakby trzeba było
jeszcze zaostrzyć?”.



zdrowia Adam Niedzielski
czy doradca epidemiczny
prof. Andrzej Horban. Gdy
spierają się o obostrzenia za-
miast o zdrowie, chodzi głów-
nie o wizerunek: przyznanie
się do błędu, pójście pod prąd
opinii publicznej. Mechanika
rządzenia bez zasłony.

A może nie tylko rządzenia?
Kaczyński sugerował, że atak
dotyczy wszystkich opcji, Mo-
rawiecki porażką też się dzie-
lił: „Wszystko wskazuje na to,
że cała polska klasa polityczna
została zaatakowana”. Na ra-
zie brak dowodów, by politycy
spoza kręgu władzy zostali

również zhakowani, ale według przecieków z tajnego po-
siedzenia Sejmu chodzi o kilkadziesiąt tysięcy maili z kilku
tysięcy kont. Pojawienie się materiałów z obozu opozycji
byłoby kwestią czasu. Tyle że opozycja nie wysłała wiadomo-
ści tak ważnych jak urzędujący ministrowie i nie konsultuje
planów, które za chwilę stają się decyzjami.

Co z tym wszystkim zrobić, gdy mleko się wylało i nie wia-
domo, ile go jeszcze popłynie? Pilna reedukacja cyfrowa nas
wszystkich jest oczywistością. Urzędników mają obowiązy-
wać jasne i jednoznaczne reguły, od których odstępstwa po-
winny być absolutnym wyjątkiem. To oznacza dużo głębszy
niż dziś nadzór służb nad obiegiem urzędowej informacji.
W cyfrowym świecie nie powinno być problemu, by każdy
państwowy mail dało się w każdym momencie wysledzić,
sam się powinien blokować przed odczytaniem poza auto-
ryzowanym obiegiem.

Higiena cyfrowa musi też objąć otoczenie państwo-
wych vipów, bo cyfrowe ataki na żony, dzieci i partnerów
ministrów, prezesów i prezydentów będą codzienno-
ścią. By ochronić najbliższych, siebie i państwo, ludzie
na stanowiskach muszą mieć najpierw wystarczającą
świadomość, potem wykazać się odpowiedzialnością. Jak
pokazuje afera mailowa Dworczyka, na razie brakuje
im wszystkiego.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

REKLAMA

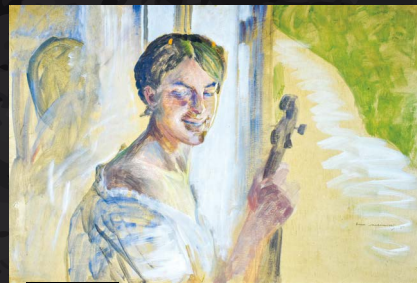
ZRÓB Z NAMI FRANCYZĘ



Beksiński



Wierusz-Kowalski



Malczewski



Güntner

Kup książkę

www.warszawskidomaukcyjny.pl



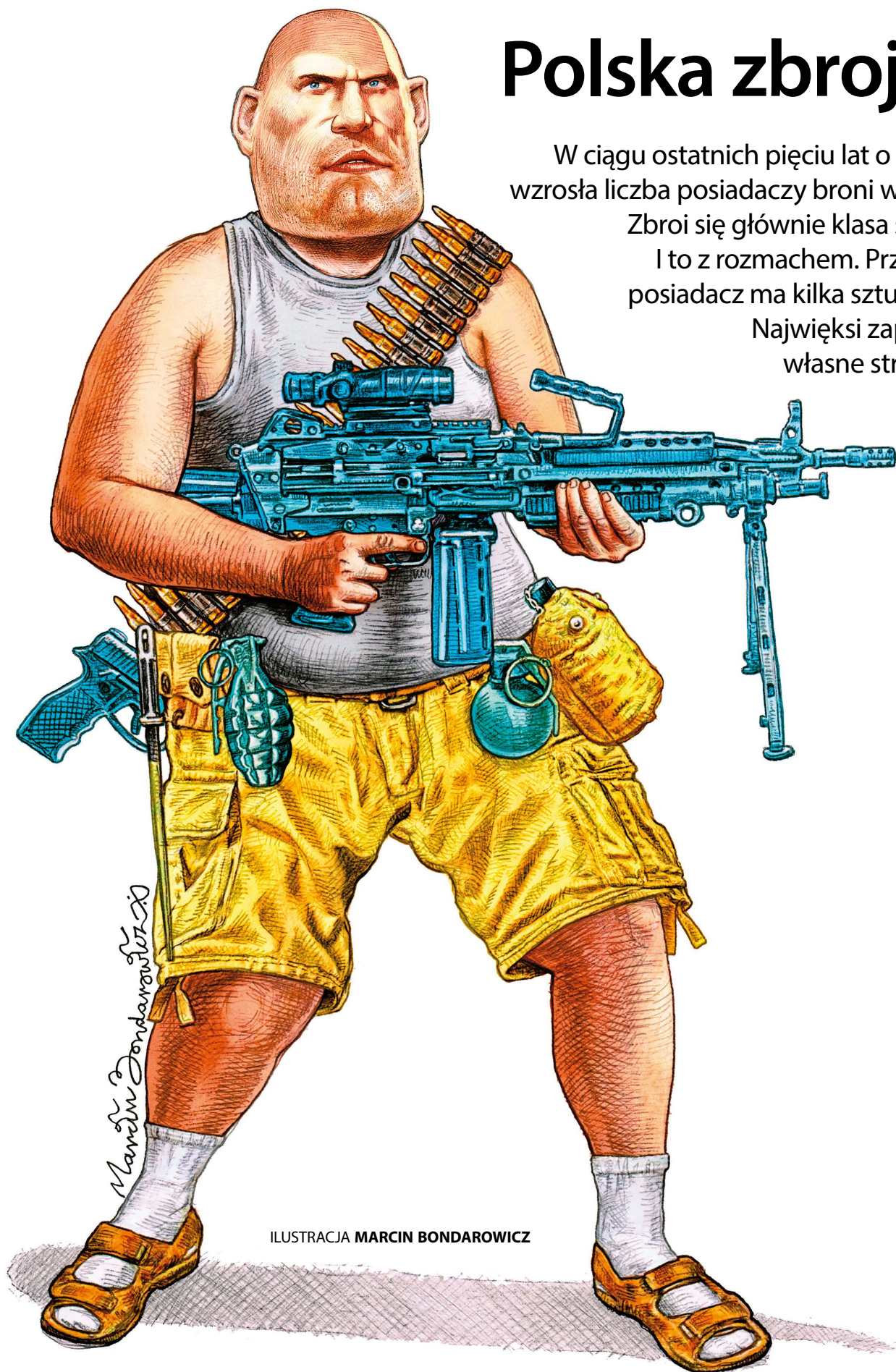
Polska zbrojna

W ciągu ostatnich pięciu lat o połowę wzrosła liczba posiadaczy broni w Polsce.

Zbroi się głównie klasa średnia.

I to z rozmachem. Przeciętny posiadacz ma kilka sztuk broni.

Najwięksi zapaleńcy własne strzelnice.



ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ

Strzelnica Stone Range ma trudną do wymówienia nazwę i jeszcze trudniejszą do znalezienia lokalizację. Właściwie leży pośrodku niczego. Ale 12 czerwca wieś Kamień w gminie Dmosin przeżyła prawdziwy najazd gości. Najazd to słowo jak najbardziej adekwatne, bo większość z nich była uzbrojona. I to solidnie. A jak ktoś nie był, to na miejscu czekało tyle broni i amunicji, że każdy wchodzący na piknik w gratisie dostawał zatyczki do uszu. W cenie wejściówki można było oddać kilka strzałów. A jak komuś się spodobało, to za odpowiednią dopłatą mógł tych strzałów oddać dużo więcej. Konkretnie, ile chciał i z czego chciał. Zasada była prosta. Zachęcić jak najwięcej osób, żeby zechciały sięgnąć po własną broń. Rynek w Polsce ma potencjał, bo choć ruszył z kopyta, to dopiero niedawno wyszedł z boków startowych.

Panowie gustowali w kałasznikowie, bo co to za chłop, który nie strzelił w życiu z kałacha. Panie szły raczej w pistolety maszynowe. A dzieci to już według własnych sił i fantazji rodziców. Przy czym tym najmniejszym, czyli kilkulatkom, i tak musieli pomagać instruktorzy, bo nawet najłżejszy karabinek swoje jednak waży. Bardziej zdeterminowane dzieciaki też mogły postrzelać z kałasznikowa. Tyle że na leżąco i z podpórki. Było tłoczno i piknikowo. Opary prochu mieszały się z zapachami grochówki i kiełbasek z grilla. Miła rodzinna atmosfera – jak reklamowali imprezę organizatorzy. Choć większość siedziała w nausznikach, bo amunicji tego dnia nie oszczędzano.

Po południu liczba gości na pikniku przekroczyła 300 i do stanowisk strzeleckich trzeba było czekać w kolejce. Tu można się było dowiedzieć, że od kilku lat Polska ma jedno z bardziej liberalnych przepisów w zakresie dostępu do broni w całej UE i właściwie każdy niekarany Polak może skutecznie ubiegać się o pozwolenie. No i się ubiegają. Liczba posiadaczy broni wzrosła o połowę, do ok. 170 tys. osób. Około, bo policja niechętnie podaje jakiegokolwiek dane. Liczba sztuk broni w rękach prywatnych wzrosła trzykrotnie (policja, wojsko i WOT do tych danych się nie wliczają, bo jest to broń służbowa). W efekcie w polskich domach jest już ok. 600 tys. sztuk broni palnej. I mniej więcej drugie tyle broni czarnoprochowej, którą można kupować bez żadnych ograniczeń i zezwoleń.

Suweren dla suwerena

Paweł Zbierski do Stone Range przyjechał właściwie służbowo. Od ośmiu lat jest jednym z aktywistów ruchu posiadania broni palnej przez Polaków. W Zduńskiej Woli otworzył nawet własną strzelnicę. Z rozmachem, bo zaczął od sesji zdjęciowej z rodziną i z jej nowymi atrybutami. Żona wystąpiła

w garsonce, szpilkach i z karabinkiem szturmowym. On w garniturze z muszką i również z karabinkiem szturmowym. 6-letnia córka, też na galowo, i z obrzynem. Tylko niemowlę nie dostało nic do potrzymania, co jedna z dziennikarek sarkastycznie skomentowała, że przecież można było zaczepić chociaż granat o pieluchę. – *Posiadanie granatów przez osoby prywatne jest w Polsce nielegalne. Na każdy rodzaj broni z tej sesji miałem pozwolenie, mimo to spadła na mnie fala krytyki. Nie złamałem prawa, ale widocznie naruszyłem społeczne tabu* – mówi Zbierski. – *Państwo przez lata trenowało obywateli w niechęci do broni. W efekcie każdy, kto sfotografuje się z własnym karabinem, uchodzi za oszołoma. A przecież strzelectwo to sport jak każdy inny* – przekonuje. Przekonuje dosyć skutecznie, bo prowadzony przez niego klub sportowy ma już ponad 300 członków. I ich liczba ciągle rośnie, bo klub jest nie tylko miejscem spędzania wolnego czasu, ale przede wszystkim maszynką do wydawania kolejnych pozwoleń na broń.

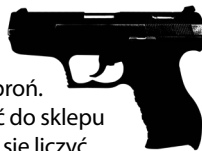
Znowelizowana w marcu 2011 r. Ustawa o broni i amunicji znacznie rozszerzyła pojęcie broni sportowej. Właściwie może to być każda broń, łącznie z karabinkiem szturmowym, byle nie strzelał ogniem ciągłym, tylko pojedynczym. A w innych przepisach zrównano w prawach zawodników profesjonalistów i amatorów. W efekcie kluby strzeleckie zaczęły powstawać jak grzyby po deszczu, bo każdy, kto zapisał się do klubu, już po trzech miesiącach mógł rozpocząć procedurę wyrobienia pozwolenia na broń. Tylko w województwie mazowieckim zarejestrowane są już 33 kluby. Trzy razy więcej niż kiedyś. W każdym można rozpocząć procedurę wyrobienia patentu strzeleckiego, która jest przepustką do legalnego posiadania dowolnej broni. Procedurę, która jest dosyć czasochłonna i – jak mówią ci, którzy ją przeszli – upierdliwa. Ale skuteczną, bo policja nie ma innego wyjścia, jak po uzyskaniu wszystkich wymaganych zaświadczeń wydać stosowne pozwolenie.

A później to już hulaj dusza, bo posiadacze broni sportowej przez ostatnie kilka lat tak skutecznie poszerzali własne prawa, że właściwie mogą nawet legalnie chodzić po ulicach z bronią. Nie mogą się nią tylko afiszować. I w komorze nie może być naboju. Ale do broni może być podpięty magazyn pełen naboju. Oficjalnie chodziło o to, żeby w razie próby zaboru broni można było szybko ją przeładować i zapobiec takiej sytuacji. Nieoficjalnie – o to, żeby było jak w Stanach. No i jest, bo większość posiadaczy broni ma co najmniej trzy sztuki. – *Ja mam dziesięć pistoletów, dwa karabinki i dwie strzelby. Ale taka klasyczna droga zaczyna się od jednego pistoletu. Do którego bardzo szybko dokupuje się karabinek, a później drugi albo strzelbę* – mówi Zbierski. ►

Kilka 500 plus broń

Najłatwiejszym sposobem na zdobycie pozwolenia jest zapisanie się do klubu strzeleckiego. Członkostwo kosztuje od 200 do 500 zł rocznie, w zależności od klubu. Niektóre stosują również jednorazową opłatę wpisową 500 zł. Po trzech miesiącach można wystąpić o patent strzelecki, co kosztuje kolejne 500 zł. Mniej więcej 500 zł trzeba zapłacić za badania lekarskie i opinię od psychologa. Następnie wnieść 242 zł opłaty skarbowej za wydanie

decyzji o pozwoleniu na broń. Z pozwoleniem można iść do sklepu z bronią, w którym trzeba się liczyć z wydatkiem rzędu od 2 do 3 tys. zł. Co prawda za 899 zł można już kupić oryginalną radziecką TT-kę, kal. 7.62. Ale jest to broń w roczniku od 1936 do 1952 r. i raczej wstyd pojawić się z nią na strzelnicy. Jednym z najchętniej kupowanych pistoletów jest glock. Ceny zaczynają się od 3 tys. zł za sztukę. W magazynku mieści się 15 naboju. Jeden



kosztuje ok. 2 zł. Magazynek można wystrzelić w 30 sekund. Kabura z pasem i zestaw do czyszczenia broni kosztuje ok. 1 tys. zł. Broń musi być przechowywana w sejfie albo metalowej kasie, trwałe przytwierdzonej do podłoża. To kolejny co najmniej tysiąc złotych do wydania. Ceny pistoletów maszynowych (strzelających ogniem pojedynczym) oscylują wokół 6–8 tys. zł. Za karabinek szturmowy (strzelający ogniem pojedynczym) trzeba zapłacić od 8 do 12 tys. zł.